

Zakład Publikacji PIG-PIB prezentuje nową, piątą już z kolei książkę z serii WOKÓŁ GEOLOGII. Są to wspomnienia Leszka Sawickiego, wrocławskiego geologa i podróżnika pt. „Pies i geolog drogą nie chodzą”. Tytuł książki, sentencja jednego z uniwersyteckich nauczycieli autora, doskonale oddaje istotę zawodu geologa. Drogę wskaże mu kompas i mapa, psi węch pomoże w odkrywaniu tego, co ukryte w ziemi.

Autor, dzięki reporterskiej pasji notowania zdarzeń życia codziennego, pozwala czytelnikowi zagłębić się w podróże w czasie i przestrzeni. Dzięki nim możemy poczuć realia dawnego Lwowa i okolic, jak również poznać smak egzotycznych wypraw geologa-naukowca, ale i pasjonata-podróżnika. Liczne fotografie autorskie przenoszą w samo sedno opowieści z diariusza, często do miejsc nieskalanych ludzką stopą, tak jak podczas kartowania w Wietnamie! Podróż przez wspomnienia Leszka Sawickiego jest barwna, niepozbawiona humoru i niekonwencjonalna, tak jak w powiedzeniu „Pies i geolog drogą nie chodzą”.



W rozdziale „Wietnamska dżungla” autor wspomina: *Spartańskie warunki terenowe w nowym miejscu pracy wynagradzały widoki roztaczające się sprzed drzwi mego „domu”. Mieszkalem na niewielkim wzgórzu, skąd ku południowi otwierała się rozległa panorama coraz to wyższych pasm górskich. Góry przybierały codziennie inną przysłone chmur; pojedyncze, poziome welony przechodziły w zwarte masy, te niekiedy zakrywały całe podnóże górskie, aby pokazać tylko linie grzbietowe najwyższych szczytów. Baza leżała na wysokości około 300 m n.p.m., góry na południu dochodziły w partiach szczytowych do 1500 metrów. Ponad nagie, porośnięte słoniową trawą grzbiety wystrzelały tu i ówdzie skaliste baszty zbudowane z dolomitów lub wapieni. Dolne partie gór pokrywała niskopienna dżungla.*

*Zostałem szefem siedmioosobowej grupy wietnamskiej, złożonej z trzech techników, tłumacza, sanitariusza, kucharza i strażnika. Trójka techników-geologów to Thao, Kan i Zun; dwaj pierwsi chętni do pracy, trzeci wyjątkowy obibok. Tłumacz Tiń, studencik pochodzący z inteligenckiej rodziny hanojskiej, był niestety niedołągą, bojącym się marszrut. Sanitariusz Kuan, wysoki drągał, znał nieco język rosyjski, niesłychany gaduła, w czasie marszu potrafił rozśmieszyć całą gromadkę. Da – kucharz i zaopatrzeniowiec – świetnie dawał sobie radę z obu funkcjami. Strażnik Cian reprezentował tu władzę, chodził z pistoletem, później też z karabinem. Miał za zadanie chronienie mojej osoby nie tylko przed „złymi ludźmi”, starannie nakrywał mi głowę kaskiem, gdy stałem na słońcu, wieczorami przypominał o ubraniu koszuli z rękawami, gdy nastawała pora moskitów.*

*Zapiski w diariuszu, 21 października, marszruta. (...) Po obiedzie okrzyk Kon-zan! podrywa mnie i gonię wraz z innymi do baraku techników. W rogu baraku chwytają okazałą żmiję, szaro oliwkową, z purpurowym karczkiem.(...) Puszcza ją na boisko i mogą ją filmować w całej okazałości. Żmija ucieka, więc ją drażnią rzucaniem piasku. W końcu Vien przyciska ją patykiem do ziemi. Odskakuję, ale zaraz zaczyna się zabawa. Każdy po kolei łapie ją w ręce i rzuca w przyjaciela. W końcu żmiję wyrzucają poza baraki, w chaszcze. Męska zabawa.”*

Książka (332 strony, liczne ilustracje) ukaże się w październiku b. r. Życzymy miłej lektury.